



# Juliusz Verne

## Malec

(Część druga)



ISBN 978-83-64701-08-5 (całość)

ISBN 978-83-64701-10-8 (cz. 2)





# Juliusz Verne



## MALEC

### *Część druga*

Przełożył i przypisami opatrzył Andrzej Zydorczak

**Siódma publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ**

Tytuł oryginału francuskiego: *P'tit Bonhomme*

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Zydorczak, 2011

86 ilustracji i mapka: Léon Benett  
(zaczepnięte z XIX-wiecznego wydania francuskiego)

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Korekta: Krzysztof Czubaszek, Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Skład: Andrzej Zydorczak

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Patron serii „Biblioteka Andrzeja”:  
Polskie Towarzystwo Juliusza Verne’a

**Wydanie I**

© Wydawca: JAMAKASZ

Ruda Śląska 2014

ISBN 978-83-64701-08-5 (całość)  
ISBN 978-83-64701-10-8 (część druga)

## Część druga

### *Dalsze przypadki*



# Rozdział I

## *Wielmożni państwo*

Lord Piborne, cały czas zachowując dobre maniery, podniósł różne papiery położone na stole w jego gabinecie, przerzucił leżące tu i tam gazety, obmacał kieszenie pluszowego, jasnozłotego szlafroka, a także szarego płaszcza przewieszonego przez fotel. Następnie obrócił się i wyraził swoje zdziwienie prawie niedostrzegalnym uniesieniem brwi.

W taki oto arystokratyczny sposób, bez żadnego grymasu twarzy, Jego Wysokość okazywał zazwyczaj najżywsze objawy niezadowolenia.

Lekkie pochylenie torsu wskazywało, że był gotów się schylić, aby spojrzeć pod stół, pokryty aż do podłogi kilimem z wielkimi frędzlami. Rozmyślił się jednak i raczył nacisnąć guzik dzwonka, znajdujący się przy kominku.

Prawie natychmiast w drzwiach pokazał się kamerdyner John i stanął, oczekując na polecenia.

– Zobacz, czy mój portfel nie upadł pod stół – powiedział lord Piborne.

John schylił się, uniósł gruby kilim i po chwili pokazał puste dłonie.



Portfela Jego Wysokości w tym miejscu nie było.

Lord Piborne po raz drugi lekko uniósł brwi.

– Gdzie jest lady Piborne? – spytał.

– W swoich apartamentach – odparł kamerdyner.

– A hrabia Ashton?

– Przechadza się w parku.

– Przekaż Jej Wysokości lady Piborne moje wyrazy uszanowania i powiedz jej, że chciałbym z nią jak najszybciej porozmawiać.

John obrócił się sztywno wokół własnej osi – dobrze wyszkolony służący nie powinien się kłaniać – i opuścił gabinet krokiem manekina, aby wykonać rozkazy swego pana.

Jego Wysokość lord Piborne miał pięćdziesiąt lat – pięćdziesiąt lat dołączonych do kilku wieków, jakie liczyła jego szlachezna rodzina, która nigdy nie utraciła praw szlacheckich i nie zeszła na złą drogę. Był znaczącym członkiem Izby Lordów i naprawdę w dobrej wierze żałował starych feudalnych przywilejów, czasów lenn, rent, majątków dziedzicznych i domen, posiadania prawa sądenia, swoich przodków, hołdów, jakie im bez zastrzeżeń składali lennicy. Nikt nie dorównywał mu pochodzeniem, nikt nie mógł się pochwalić tak starodawnym rodowodem... Inni byli dla niego tylko wieśniakami, nieszlachciami, poddanymi i służącymi. On był markizem, a jego syn hrabią. Według niego baroneci, kawalerowie i niżsi rangą mieli zaledwie prawo pokazywać się w przedpokojach prawdziwego szlachcica. Wysoki, chudy, o twarzy bez zarostu, przygaszonych oczach nawykłych do wyrażania pogardy, odzywający się rzadko i ozięble – lord Piborne reprezentował typ owych wyniosłych szlachciców, odlanych w formie wykonanej z ich starych pergaminów, którzy – na szczęście – powoli znikają, nawet w tak arystokratycznym państwie, jakim było Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii.

Należy zauważyć, że markiz był z pochodzenia Anglikiem i wcale nie popełnił mezaliansu<sup>1</sup>, żeniąc się z markizą pochodzenia szkockiego. Wielmożni państwo byli stworzeni dla siebie, nie zamierzając nigdy zejść z wysokości swojej grędy, i prawdopodobnie przeznaczeni do pozostawienia potomstwa „najwyższego gatunku”. Cóż chcecie? To wynikało z jakości gliny, z jakiej na początku naszych dziejów zostali ulepiani pierwsi przedstawiciele wielkich rodów. Niewątpliwie wyobrażali sobie, że Bóg wkładał rękawiczki, aby ich przyjmą w swoim świętym raj!

Drzwi się otworzyły i tak, jak to się czyni przy pojawieniu się w salonach wysoko urodzonej damy, kamerdyner obwieścił:

– Jej Wysokość lady Piborne.

Markiza, licząca sobie czterdzieści lat, wysoka, chuda, kanciasta, z gładko zaczesanymi włosami z przedziałkiem, zaciśniętymi ustami, bardzo arystokratycznym orlim nosem, o płaskiej talii, opadających ramionach – nigdy nie mogła być uznana za ładną. Jednak jeśli chodzi o wytworność postawy i maniery, o znajomość obyczajów i przywilejów, lord Piborne nie mógł dobrać sobie nikogo lepszego.

John przysunął ozdobiony herbem fotel, na którym zasiadła markiza, i wycofał się.

Szlachetny małżonek rozpoczął takimi słowami:

– Proszę mi wybaczyć, markizo, iż zmuszony byłem prosić panią, abyś zechciała opuścić swoje apartamenty i uczyniła mi zaszczyt porozmawiania ze mną w moim gabinecie.

Nie należy się dziwić, że wielmożni państwo używali takich słów nawet w prywatnych rozmowach. Należało to do dobrego tonu. Ponadto uczyli się przecież w szkole „pudru i peruki” dawnej szlachty. Nigdy nie przystaliby na zniżenie się do poufałości obecnej mowy, którą Dickens<sup>2</sup> tak zabawnie nazwał „poufałością peruk”.

– Jestem do usług, markizie – odparła lady Piborne. – O czym pan chciał ze mną rozmawiać?

– Pani, usilnie proszę, abyś raczyła się odwołać do swojej pamięci.

– Słucham pana.

– Pani markizo, czy wczoraj około trzeciej po południu wyjechaliśmy z zamku, aby spotkać się w Newmarket z panem Lairdem, naszym *attorneyem*?

*Attorney* był prawnikiem działającym przy sądach cywilnych Zjednoczonego Królestwa.

– Rzeczywiście... wczoraj... po południu – odparła lady Piborne.

1 *Mezalian* – małżeństwo z osobą niższego stanu, nieodpowiednią ze względu na pochodzenie oraz majątek.

2 *Charles Dickens* (1812-1870) – angielski pisarz, jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy europejskich, początkowo dziennikarz i reporter prasy liberalnej, a także sprawozdawca parlamentarny; autor takich powieści, jak *Klub Pickwick*, *Oliver Twist*, *David Copperfield*, *Opowieść wigilijna*.

– Czy dobrze pamiętam, że w kolasce<sup>3</sup> towarzyszył nam książę Ashton, nasz syn?  
– Towarzyszył nam, markizie, i zajmował miejsce na przednim siedzeniu.  
– Czy dwaj lokaje znajdowali się z tyłu?  
– Tak jak być powinno.  
– Zgadza się, markizo – powiedział lord Piborne, lekko skinąwszy głową. – Niewątpliwie przypominasz sobie, pani, iż wziąłem z sobą pugilares<sup>4</sup> zawierający dokumenty związane z procesem, którym grozi nam parafia...

– To niesłuszny proces! Że też miała odwagę i czelność nam go wytoczyć! – wtrąciła lady Piborne, podkreślając swoją wypowiedź bardzo szczególną intonacją.

– W pugilaresie – mówił dalej lord Piborne – znajdowały się nie tylko bardzo ważne papiery, ale także sto funtów w banknotach, przeznaczone dla naszego prawnika.

– Pańska pamięć, markizie, zanotowała wszystko dokładnie.

– Pani zapewne też pamięta, jak dalej potoczyły się sprawy. Przybyliśmy do Newmarket, nie opuszczając po drodze kolaski. Pan Laird przyjął nas na progu swego domu. Pokazałem mu dokumenty i chciałem przekazać pieniądze. Odpowiedział nam, że w obecnej chwili nie potrzebuje ani jednych, ani drugich, dodając, że się zaoferuje i przyjedzie do zamku, gdy nadejdzie odpowiedni czas, aby przeciwstawić się roszczeniom parafii...

– Ohydny roszczeniem, które dawniej byłyby uważane za naruszające magnackie prawa...

Markiza, używając dokładnie tych słów, nie uczyniła nic innego, tylko powtórzyła zdanie, które wiele razy w jej obecności wypowiedział markiz.

– Z tego wynika – kontynuował jej szanowny małżonek – że kiedy wsiadaliśmy do powozu, miałem przy sobie pugilares i że powróciliśmy do zamku około siódmej wieczorem, w czasie, kiedy zaczęła zapadać noc.

O tej porze było już bardzo ciemno, gdyż działo się to w ostatnim tygodniu kwietnia.

– Otóż – ciągnął markiz – jestem zupełnie pewny, że włożyłem pugilares do lewej kieszeni mojej pelisy<sup>5</sup>, a tymczasem nie potrafię go odszukać.

– Może po powrocie, markizie, położył go pan na stole w swoim gabinecie?

– Pomyślałem tak samo, markizo, i przeszukałem papiery, lecz na próżno...

– Czy od wczoraj ktoś tu wchodził?

– Tak, John... kamerdyner, lecz nie mam powodu, by go podejrzewać...

– Zawsze rozsowniej jest podejrzewać ludzi – odparła lady Piborne – nawet jeśli rozpoznamy swój błąd.

– Ostatecznie mogło się zdarzyć – zaczął na nowo markiz – że pugilares wysunął się z kieszeni na jedną z ławek kolaski...

– Lokaj musiałby to zauważyć, o ile nie pomyślał, że mógłby sobie przywłaszczyć znaczną sumę stu funtów...

– Te sto funtów mógłbym w końcu odzalać – powiedział lord Piborne – ale dokumenty rodzinne, które potwierdzały nasze prawa względem parafii...

– Parafia! – powtórzyła lady Piborne.

Czuło się, że przemawia przez nią wyższość osoby zamieszkującej zamek, sprowadzająca parafię do rangi najlichszego z wasali, a domaganie się od parafii zwrotu majątku było zarówno godne politowania, jak i pozbawione jakiegokolwiek klasy.

– A zatem – powiedziała markiza – gdybyśmy przypadkiem przegrali ten proces... wbrew wszelkiej sprawiedliwości...

– I niewątpliwie go przegramy – stwierdził lord Piborne – z winy władzy tworzącej takie ustawy...

– Parafia wejdzie w posiadanie tysięcy akrów lasu, przylegającego do parku i od czasów Plantagenetów<sup>6</sup> stanowiącego własność rodu Piborne...?

– Tak, markizo.

– To byłoby okropne!

– Okropne jak wszystko, co zagraża własności feudalnej w Irlandii... Domaganie się niepodległości, zwrócenie ziemi wieśniakom, bunt przeciw landlordyzmowi... Ach, żyjemy w osobliwych czasach i jeżeli lord namiestnik nie zaprowadzi ładu, wieszając głównych przywódców Ligi Ziemskiej, nie wiem, albo raczej

3 Kolaska – odkryty pojazd konny, podobny do bryczki.

4 Pugilares – rodzaj małej kieszonkowej teczeki z przegródkami na banknoty i dokumenty.

5 Pelisa – zimowy płaszcz podszyty futrem.

6 Plantageneci – dynastia panująca w Anglii od XII do XV w.

wiem zbyt dobrze, jak zakończą się sprawy...

W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu i stanął w nich młody chłopiec.

– Ach, to pan, hrabio Ashton? – zauważył lord Piborne.

Markiz i markiza nigdy nie zapominali, aby obdarzać tym tytułem swego syna, który zapewne uchybiłby wszelkim konwenansom wynikającym z jego urodzenia, gdyby nie odpowiedział:

– Dzień dobry milordzie, mój ojczule!

Następnie zbliżył się do milady, swej matki, i z szacunkiem ucałował ją w rękę.

Czternastoletni młody dżentelmen miał twarz o regularnych rysach i rzadko spotykanym nijakim wyrazie, która z upływem lat nie musiała wcale zyskać ani na żywotności, ani na inteligencji. Był to rzeczywiście prawowity potomek markizy i markiza, opóźnionych o dwa wieki, opornych na wszelki postęp nowoczesnego życia, prawdziwych torysów<sup>7</sup> sprzed Cromwella – dwójki niereformowalnych oryginałów. Instynkt rasowy sprawił, że ów chłopiec zachowywał się w miarę odpowiednio, że pozostawał hrabią aż po końcu palców, chociaż był rozpieszczany przez markizę, a służący w zamku byli już wprawieni w spełnianiu jego najmniejszych kaprysów. W gruncie rzeczy nie miał żadnych pozytywnych cech swego wieku – ani młodzięńczo szalonych odruchów, ani porywów serca, ani młodzieńczego entuzjazmu.

Ów wyniosły paniczek był małostkowy, widząc wokół siebie tylko niższych, mało litościwy dla biednych ludzi, bardzo sprawny, jeśli chodziło o sport, jazdę konną, polowanie, biegi, krokiet<sup>8</sup> czy tenis, ale był prawie zupełnym ignorantem w sprawach wiedzy, pomimo pół tuzina nauczycieli, którzy podjęli się niewykonalnego zadania nauczania go czegośkolwiek.

Wielu młodych ludzi pochodzących z wyższych sfer, których przeznaczeniem było zostanie pewnego dnia kompletnymi głupcami, chociaż nienagannie wytwornymi, wykazywało z pewnością skłonność do zmian w sposobie bycia i zachowaniu. A jednak wciąż istnieli i tacy, którzy byli niereformowalni, a hrabia Ashton Piborne do nich się właśnie zaliczał.

Przedstawiono mu sprawę pugilaresu. Przypominał sobie, że milord, jego ojciec, trzymał w ręce wzmiankowany pugilares w chwili, kiedy opuszczał dom prawnika, i że przy opuszczaniu Newmarket nie wsadził go do kieszeni swej pelisy, lecz położył za nim, na jednej z poduszek.

– Jesteś pewny tego, co mówisz, hrabio Ashton? – spytała markiza.

– Tak, milady, i nie sądzę, żeby pugilares mógł się wysunąć z pojazdu.

– Wynikałoby z tego – stwierdził lord Piborne – że powinien znajdować się tam jeszcze, kiedy dojechalibyśmy do zamku...

– Z czego należy wysnuć wniosek, iż został zabrany przez kogoś ze służby – dodała lady Piborne.

Hrabia Ashton w całości podzielał tę opinię. Nie darzył najmniejszym zaufaniem tych krętaczy, którzy jeśli nie byli złodziejami, to co najmniej szpiegami – najczęściej i jednym, i drugim – i uważał, że powinno się mieć prawo chłostania ich, jak dawniej czyniono w Wielkiej Brytanii z chłopami pańszczyźnianymi. Skąd powziął przypuszczenie, że w Wielkiej Brytanii byli jeszcze chłopci pańszczyźniani? Jego wielką bolączką było to, że markiz i markiza nie przydzielili mu osobistego kamerdynera, albo przynajmniej lokajczyka. Można było się spodziewać, że byłby dobrze ćwiczony pod okiem swego pana...

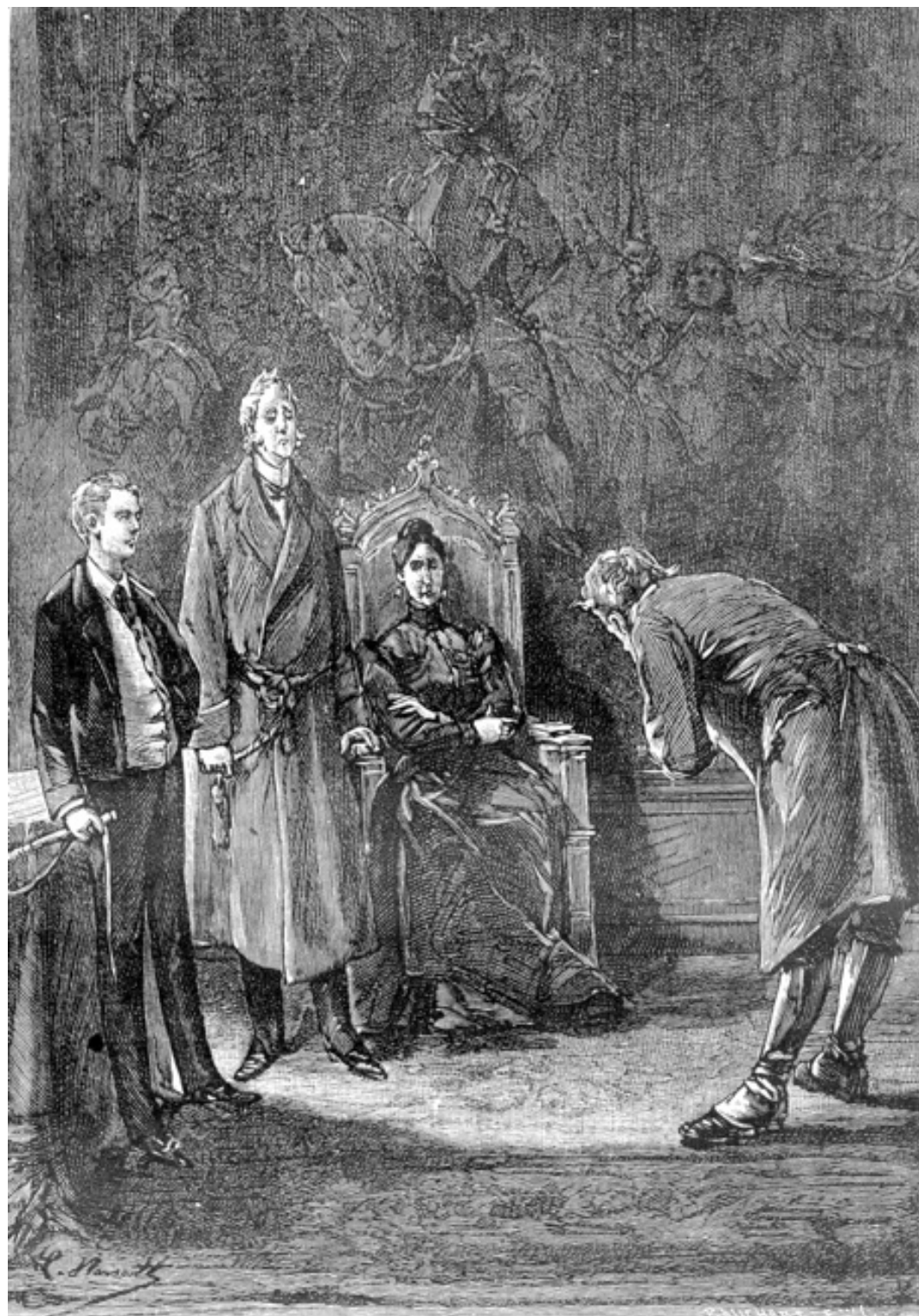
Przyznajmy, że aby tak mówić i używać takiego języka, trzeba było mieć w żyłach prawdziwą krew Piborneów!

Krótko mówiąc, na podstawie tej rozmowy wszyscy się zgodzili, że pugilares został skradziony, a złodziejem mógł być tylko ktoś ze służby, że należało rozpocząć śledztwo, że ci, na których padłby choćby cień podejrzenia, mieli być natychmiast wydani konstablowi, skoro lord Piborne nie miał już prawa do sądzenia w sprawach błahych, a tym bardziej skazywania na śmierć.

Wobec tego hrabia Ashton przycisnął guzik dzwonka i po kilku chwilach przed obliczem Jaśnie Wielmożnych Państwa stanął się rządcą.

7 *Torysi* – angielskie stronnictwo polityczne założone w drugiej połowie XVII w., opozycyjne wobec partii wigów, grupujące zwolenników nienaruszalności praw dziedziczenia tronu; członkowie ugrupowania wywodzili się z arystokracji, kół dworskich i Kościoła anglikańskiego; nazwa została im nadana przez przeciwników politycznych i miała obraźliwe znaczenie (torys w ówczesnej angielszczyźnie oznaczał rozbójnika irlandzkiego).

8 *Krokiet* – gra sportowa uprawiana głównie w Anglii i Stanach Zjednoczonych, popularna w XIX w.



Pan Scarlett, rządcą lorda Piborne'a, był prawdziwym okazem hipokryty, jednym z owych lizusów i obłudników udających świętoszków, znienawidzonym przez całą zamkową służbę. Przybierając obłudne miny, rozpyływał się w pochlebstwach i taką samą udawaną słodyczą i fałszem maltretował swoich podwładnych, bez gniewu, bez krzyków, „głaskał” ich pazurami.

W obecności wielmożnych państwa i hrabiego Ashtona wyglądał jak kościelny naprzeciw księdza proboszcza.

Przedstawiono mu sprawę. Z całą pewnością pugilares został położony na siedzeniu pojazdu i należało najpierw poszukać go w tym miejscu.

Tak właśnie myślał pan Scarlett, skoro taka była opinia lady i lorda Piborne'ów. W chwili przybycia pojazdu, stojąc z szacunkiem przy drzwiach kolaski, z powodu ciemności nie był w stanie zauważyć, czy pugilares leżał na miejscu wskazanym przez markiza.

Pan Scarlett chciał zasugerować, że być może pugilares wypadł z kolaski gdzieś po drodze, jednak wycofał się z tego. To mogłoby wskazywać na roztargnienie lorda Piborne'a. Pilnując się, aby odpowiednio sformułować podejrzenie, zauważył tylko, że pugilares musiał zawierać bardzo ważne dokumenty... To się samo przez się rozumiało, skoro należały, skoro miały zaszczyt należeć, do tak ważnej osobistości jak właściciel zamku...

– To zupełnie oczywiste – stwierdził lord – iż dokonano sprzeniewierzenia...

– Nazwijmy to kradzieżą, jeśli Wasza Wysokość wyrazi na to zgodę – dorzucił administrator.

– Zgoda, to kradzież, panie Scarlett, ale kradzież nie tylko pewnej kwoty pieniędzy, lecz także dokumentów potwierdzających prawa naszej rodziny w sporze z parafią!

Kto nie dostrzegłby wyrazu twarzy rządcy, gdy ten pomyślał, że parafia śmiała wysunąć roszczenia wobec szanowanego domu Piborne'ów – ohyda, która nigdy by się nie zdarzyła w czasach, kiedy przywileje wynikające z urodzenia były powszechnie respektowane – kto nie przyjrzałby się postawie pana Scarletta, wyrażającej oburzenie, z drżącymi rękami wzniesionymi ku niebu, a wzrokiem utkwionym w ziemię, nie potrafiłby sobie wyobrazić, do jakiego stopnia doskonałości potrafił doprowadzić ów obłudnik sztukę mimiki.

– Ale gdyby dokonano kradzieży... – odezwał się w końcu.

– Co to znaczy, gdyby dokonano?! – spytała markiza oschłym tonem.

– Niech Wasza Wysokość mi wybaczy – pospiesznie wyjaśniał rządcą – chciałem powiedzieć... gdyby jej dokonano, to mógł to uczynić...

– Tylko jeden z naszych ludzi! – dorzucił hrabia Ashton, wywijając batem, który trzymał w ręku w sposób całkiem feudalny.

– Panie Scarlett – powiedział lord Piborne – należy szybko zacząć śledztwo, aby znaleźć winowajcę lub winowajców i na podstawie zeznania pod przysięgą lub pisemnego oświadczenia prosić o interwencję wymiar sprawiedliwości, skoro nie wolno go już oćwiczyć we własnym majątku!

– A jeżeli śledztwo nie da rezultatu? – zapytał rządcą. – Co w takim razie Wasza Wysokość zamierza zrobić?

– Cała służba zamkowa zostanie odprawiona, panie Scarlett, cała!

Po takiej odpowiedzi rządcą wycofał się dopiero wtedy, gdy markiza powróciła do swoich apartamentów, a hrabia Ashton odszedł do psów pozostawionych w parku.

Pan Scarlett natychmiast zajął się zadaniem, które zostało mu narzucone. Dla niego nie podlegało żadnej dyskusji, że pugilares musiał wypaść z pojazdu w czasie podróży z Newmarket do zamku. To było aż nazbyt oczywiste, chociaż jaskrawo uwidaczniało całe niedbalstwo lorda Piborne'a. Ponieważ jednak Ich Wielmożności wymagali od niego, by udowodnił kradzież, on ją udowodnił... żeby znalazł złodzieja, on go znajdzie... Musiał tylko włożyć do kapelusza karteczki z nazwiskami całej służby i uczynić odpowiedzialnym za ten uczynek tego, którego nazwisko wyciągnie pierwsze.

Tak więc lokaje, kamerdynerzy, pokojówki, szef kuchni, woźnice, chłopcy stajenni musieli się stawić przed rządcą. Nie trzeba mówić, że wszyscy zapewniali o swojej niewinności, a chociaż pan Scarlett miał w tym względzie wyrobioną opinię, nie oszczędzał im najgorszych, najbardziej nieżyczliwych insynuacji, grożąc przekazaniem policji, jeśli pugilares się nie znajdzie. Nie tylko zostało skradzione sto funtów, lecz złodziej lub złodzieje zabrali także oryginał aktu potwierdzającego prawa lorda Piborne'a w toczącym się procesie... A dlaczego jakiś służący nie mógłby zdradzić swego pana na korzyść parafii...? Kto może zaręczyć, iż nie został przekupiony, by dokonał takiego czynu...? No cóż! Kiedy już złoczyńca zostanie złapany, będzie mógł mówić o wielkim szczęściu, jeżeli znajdzie się w transporcie więźniów płynącym na wyspę Norfolk...

Lord Piborne był potężny i okraść takiego pana, to tak, jakby okraść kogoś z królewskiej rodziny...

Pan Scarlett przemawiał w ten sposób do każdego, kto był przez niego przesłuchiwany. Na nieszczęście nikt nie zamierzał ulec i przyznać się do popełnienia tego karygodnego uczynku, więc po zakończeniu swego drobiazgowego śledztwa rządca pośpieszył zawiadomić lorda Piborne'a, iż nie dało ono żadnego rezultatu.

– Ci ludzie zapewne się porozumieli – oświadczył markiz – i kto wie, czy nawet nie podzielili się ukradzionymi pieniędzmi...

– Myślę, że Wasza Wysokość ma rację – odparł pan Scarlett. – Na wszystkie pytania, jakie zadałem, zawsze otrzymywałem identyczną odpowiedź. Dowodzi to w oczywisty sposób, że oni porozumieli się między sobą.

– Przeszukał pan ich pokoje, szafy i kufry, panie Scarlett?

– Jeszcze nie. Wasza Wysokość niewątpliwie przyzna mi rację, iż nie mogłem tego skutecznie przeprowadzić bez obecności policjanta...

– Racja – odparł lord Piborne. – Wyślij zatem jednego człowieka do Kanturk... albo lepiej... pojedź sam. Rozumiem, że nikt nie będzie mógł opuścić zamku przed zakończeniem śledztwa.

– Polecenia Waszej Wysokości zostaną wykonane.

– Oficer zapewne zadba o to, aby zabrać z sobą kilku policjantów, panie Scarlett...

– Przekażę mu prośbę Waszej Wysokości i sądzę, że on nie omieszką zadowolić pana w tym względzie.

– Powiadomi pan także mego prawnika, pana Lairda z Newmarket, iż muszę naradzić się z nim w tej sprawie, i że go oczekuję w zamku.

– Jeszcze dzisiaj zostanie powiadomiony.

– Pan wychodzi?

– W tej chwili. Powrócę przed wieczorem.

– W porządku!

To wszystko działo się 29 kwietnia przed południem. Nie mówiąc nikomu, po co jedzie do Kanturk, pan Scarlett polecił osiodłać jednego z najlepszych koni i przygotowywał się do drogi, kiedy przy wejściu dla służby, usytuowanym blisko mieszkania dozorczy, rozległ się głos dzwonu.

Drzwi otworzyły się i na progu stanął chłopczyk mający około dziesięciu lat.

Był to Malec.



## Rozdział II

### *Przez cztery miesiące*

W prowincji Munster leży hrabstwo Cork, graniczące z hrabstwami Kerry i Limerick. Zajmuje południową część Irlandii, pomiędzy zatokami Bantry i Youghal. Głównym miastem hrabstwa jest Cork, położone nad zatoką o tej samej nazwie, nad którą leży też Queenstown<sup>9</sup>, jeden z najbardziej uczęszczanych portów Irlandii.

Przez hrabstwo przebiegało wiele linii kolejowych – jedna z nich, idąca przez Mallow i Killarney, docierała aż do Tralee. Nieco powyżej, w części trasy biegnącej wzdłuż łożyska rzeki Blackwater, sześć kilometrów na południe od Newmarket, znajdowało się miasteczko Kanturk, a dwa kilometry dalej – zamek Trelingar.

Ten wielki majątek należał do starodawnej rodziny Piborne'ów. Obejmował sto tysięcy akrów samych dzierżaw, najlepszych ziem, jakie są w Irlandii. Składało się na to prawie sześćset farm, których imponujące wykorzystanie przynosiło landlordowi najwyższy czynsz w całym regionie. Z tego tytułu markiz Piborne był bardzo bogaty, nie wspominając o innych dochodach, które przynosiły mu posiadłości markizy w Szkocji. Jego fortuna zaliczana była do największych w kraju.

Podczas gdy lord Rockingham nigdy nie wizytował swoich ziem w hrabstwie Kerry, lorda Piborne'a nie można było oskarżyć o uchylanie się od tego obowiązku. Po cztero- lub pięciomiesięcznym pobycie czy to w Edynburgu, czy to w Londynie zjawiał się regularnie w kwietniu i aż do listopada zamieszkiwał w zamku Trelingar.

Oczywiste było, że tak wielki majątek ziemski musiała obrabiać znaczna liczba dzierżawców. Ludność rolnicza żyjąca na ziemiach markiza wystarczałaby do zaludnienia całego miasteczka. Z tego, że wieśniacy podlegający zamkowi w Trelingar nie byli rządzeni przez Johna Eldona w imieniu diuka<sup>10</sup> Rockinghama i tłamszeni przez Harberta w imieniu Johna Eldona, nie należy wnioskować, że byli lepiej traktowani. Było tak samo, tylko postępowano wobec nich z większą delikatnością. Oczywiście rządca Scarlett ścigał dzierżawców z całą bezwzględnością za niezapłacenie czynszów, wyrzucał ich z domów, lecz czynił to na swój sposób: współczując im, litując się, smucąc na myśl o tym, co się z nimi stanie, gdy zabraknie im schronienia i pożywienia, zapewniając, że rugi łamią serce jego pana... Biedni ludzie tak czy inaczej musieli wszystko porzucić i było raczej mało prawdopodobne, żeby doznawali jakiejś pociechy na myśl, że to zdarzenie przysparzało tyle troski Jej i Jego Wysokości.

Zamek liczył około trzech wieków, został bowiem zbudowany za czasów panowania Stuartów. Jego mury nie pamiętały więc epoki Plantagenetów, tak drogich sercu Piborne'a. Jednakże obecny właściciel upiększył go od zewnątrz, nadając mu feudalny charakter. Dobudował blanki, machikuły<sup>11</sup>, wieżyczki strażnicze, a później, w bocznej fosie, most zwodzony, który się nie podnosił, i bronę<sup>12</sup>, która nigdy nie opadała.

Wewnątrz rozciągały się obszerne apartamenty, wygodniejsze niż te z czasów Edwarda IV<sup>13</sup> czy Jana bez Ziemi<sup>14</sup>. Była to skaza modernizmu, którą musiały znosić osobistości w gruncie rzeczy bardzo troszczące się o swój dostatek i wygodę.

Po bokach zamku usytuowane były zabudowania gospodarcze i przybudówki, stajnie, wozownie, budynki służbowe. Naprzeciw rozciągał się wielki dziedziniec zamkowy, obsadzony okazałymi bukami, przy którym stały dwa pawilony rozdzielone ogromną kratą. Jeden z tych budynków, ten na prawo, służył za mieszkanie dozorczy, albo raczej odźwiernemu, jeśli użyć bardziej odpowiedniego słowa z okresu średniowiecza.

Właśnie do drzwi tego pawilonu zadzwonił nasz bohater w chwili, gdy otwierano bramę, aby rządcą Scarlett mógł wyjechać.

Od tego niezapomnianego dnia, w którym przybrane dziecko rodziny McCarthy opuściło farmę

9 Queenstown – do 1922 roku nazwa portu Cobh.

10 Diuk – w Wielkiej Brytanii najwyższa ranga godności lordowskiej, przechodząca z ojca na najstarszego syna; osoba mająca ten tytuł.

11 Machikul – w średniowiecznej architekturze obronnej: ganek wysunięty poza mury obronne, wsparty na kamiennych wspornikach, mający otwory w podłodze do wyrzucania pocisków i wylewania wrzątku w czasie obrony.

12 Brona – metalowa lub drewniana krata stanowiąca dodatkowe umocnienie średniowiecznej bramy warownej, zawieszona na łańcuchach i podnoszona za pomocą specjalnych mechanizmów.

13 Edward IV (1442-1483) – król Anglii w latach 1461-1470 oraz 1471-1483.

14 Jan bez Ziemi (1167-1216) – król Anglii w latach 1199-1216.

Kerwan, upłynęło około czterech miesięcy. Wystarczy kilka linijek, by opisać to, co w tym czasie zdarzyło się w jego życiu.

Zapadała już ciemność, kiedy Malec opuszczał zrujnowany dom około piątej wieczorem. Nie potrafiąc zupełnie odszukać pana Martina i jego bliskich na drodze wiodącej do Tralee, pomyślał najpierw, aby pójść w kierunku Limerick, ponieważ policjanci niewątpliwie otrzymali rozkaz, by tam zaprowadzić więźniów. Uważał, że koniecznie musi odnaleźć rodzinę McCarthych i dzielić z nią los, jakikolwiek by on był. Czyż nie był już dość duży, dość silny, by swoją pracą zarobić na życie? Mógł się gdzieś zatrudnić i pracować ze wszystkich sił... Lecz czy mając dziesięć lat, mógł żywić jakieś nadzieje? A zatem później, kiedy będzie dobrze zarabiał i przeznaczy to dla swoich przybranych rodziców, i jeszcze później, gdy zbije majątek – wiedział, jak to zrobić – zapewni im wygody, przywróci im szczęśliwe chwile, jakimi radował się na farmie Kerwan.

Nigdy jeszcze Malec nie czuł się taki samotny, jak czekając na pustej drodze, w okolicy spustoszonej przez nędzę, która nie potrafiła już nikogo wyżywić, zagubiony w niezmiernych ciemnościach i doskwierającym mu chłodzie. Rzadko się zdarzało, żeby dzieci w jego wieku nie były połączone jakimikolwiek więzami, jeżeli nie z rodziną, to przynajmniej z domem opieki, który je przygarnia i wychowuje. Tymczasem on – czyż nie był oderwanym liściem pchanym po drodze? Ów liść leciał tam, dokąd go popchnął wiatr, i miało się tak dziać aż do chwili, kiedy zostanie starty na proch. Tak, on nie miał nikogo, kto by się nad nim ulitował, kto mógłby mu pomóc! Jeżeli nie odnajdzie rodziny McCarthych, nie będzie wiedział, co z sobą począć... Ale gdzie ich szukać? Kogo zapytać, co się z nimi stało? A jeżeli zdecydowali się opuścić kraj – zakładając, że nie zostali uwięzieni – jeżeli woleli wyemigrować do Nowego Świata, jak wielu innych mieszkańców tej ziemi...?

Chłopczyk postanowił zatem podążać w kierunku Limerick pokrytą śniegiem równiną. Gdyby wiał północny wiatr, zimno byłoby nie do zniesienia. Jednak powietrze było łagodne, takie, w którym najmniejszy hałas dało się usłyszeć z bardzo daleka. Malec szedł dwie mile, nie spotkawszy na drodze żywej duszy. Można by powiedzieć, że szedł na chybił trafił, ponieważ nigdy nie zapuszczał się w tę część hrabstwa, gdzie zaczynały się pokazywać pierwsze odnogi gór. Przed nim, na horyzoncie, ciemniały masywy świerkowych lasów.

W tym miejscu Malec, bardzo przecież zmęczony swą podróżą do Tralee, poczuł, iż zaczyna mu brakować sił, chociaż był tak wytrzymały. Nogi zaczynały się pod nim uginać, coraz częściej potykał się na nierównościach i koleinach. A jednak nie, nie chciał się zatrzymywać i wlokąc się z wielką trudnością, zdołał jeszcze przejść jakieś pół mili. Zrobiwszy ostatni wysiłek, padł jak długi na poboczu porośniętym olbrzymimi drzewami, których gałęzie ugiwały się pod grubą warstwą śniegu.

Malec upadł na rozdrożu utworzonym przez skrzyżowanie dwóch dróg. Gdyby był zdolny się podnieść, nie wiedziałby, w jakim kierunku ma iść. Rozciągnięty na śniegu, skostniały, zanim zamknął oczy i utracił świadomość, zdołał jeszcze zawołać:

– Pomocy! Pomocy!

Prawie w tej samej chwili dało się słyszeć głośnie szczekanie. Było je słychać coraz bliżej i na zakręcie drogi pojawił się jakiś pies z wyciągniętym ku ziemi nosem, wywieszonym językiem i ślepiami świecącymi jak u kota.

W pięciu czy sześciu susach zwierzę znalazło się przy dziecku... Nie obawiajmy się jednak, nie przybiegło, by zrobić mu krzywdę, lecz żeby je ogrzać, kładąc się u jego boku.

Wkrótce Malec odzyskał przytomność. Otworzył oczy i poczuł na swych zmarzniętych rękach ciepły język.

– Birk... – wyszeptał.

Tak, to był Birk, jego jedyny przyjaciel, wierny towarzysz z farmy Kerwan.

Odwzajemnił pieszczoty zwierzęciu i poczuł, że zaczyna mu się robić cieplej, kiedy wtulił się w łapy zwierzęcia. To przywróciło go do życia. Pomyślał, że nie jest już sam na świecie... Obaj będą mogli rozpocząć poszukiwania McCarthych... Nie wątpił, że Birk towarzyszył im po wyrzuceniu z farmy. Dlaczego jednak wrócił? Czyżby świadkowie i policjanci odpędzili go kamieniami i uderzeniami kijów? Rzeczywiście, tak się rzeczy miały, i Birk, brutalnie potraktowany, musiał powrócić na farmę. Pies z pewnością potrafił odnaleźć ślady policjantów... Malec musiał się zdać na jego instynkt, jeżeli chciał dołączyć do swojej przybranej rodziny...

Zaczął więc rozmawiać z Birkiem, tak jak to robił podczas długich godzin spędzonych na pastwiskach Kerwan. Birk odpowiadał mu na swój sposób, wydając krótkie szczęknięcia, które nietrudno było zrozumieć.

– Idziemy, piesku, idziemy – powiedział Malec.

Birk, wyprzedzając swego młodego pana, rzucił się w podskokach ku jednej z dróg.